Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



Poranna mgła na tokowisku. Fot. Henryk Tyszkiewicz.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

Nr. 23 (678) 4 CZERWCA 1932 R.



„Głusza" na Jasiołdzie. Fot. J. Berbeka.

CZARNA LISTA.

W artykule p. t. „Uderzam w dzwon..." poruszyłem sprawę uciekinierstwa członków z kół i towarzystw łowieckich w imię tak aktualnej dziś redukcji wydatków osobistych, przedstawiając ten problem w oświetleniu specjalnem, pod kątem widzenia skutków na przyszłość, w oddaleniu się od i tak wiele pozostawiającej do życzenia spoistości społeczeństwa myśliwskiego.

Obecnie chcę poruszyć inną bolączkę naszych organizacyj łowieckich, nie nową, nazbyt może zastarzałą i nazbyt długo tolerowaną, a podrywającą finanse, a przez to samo i możność owocnej działalności, zwłaszcza ideowej.

Bolączką tą jest samo uciekinierstwo, lecz nie motywowane nawet trudnemi warunkami doby obecnej i koniecznością zaprowadzenia oszczędności na przyszłość, gdyż ten drugi typ uciekinierstwa datuje się nie od dzisiaj. Mam na myśli tych członków-myśliwych, którzy, po przyjęciu ich przez daną organizację, przez czas pewien zachowują się wzorowo (zresztą, pod kątem etyki klubowej, nie może to być ich cechą dodatnią, godną podkreślenia), płacą regularnie składki, polując pospołu; po pewnym jednak czasie, tego ostatniego nie zaniedbują, przestając płacić składki; następnie przychodzi martwy sezon, a zaległość wzrasta; wreszcie, po otrzymaniu w nowym sezonie szeregu napomnień, „obrażają" się, składek wstecz nie wyrównywują, przestają oczywiście polować, lecz formalnie o wypisanie z organizacji nie proszą — i na tem „idylla" się kończy.

Ponieważ finanse naszych instytucyj łowieckich opierają się głównie na składkach członkowskich, a mniej na rzadko szczęśliwych imprezach, przeto zasadniczo ubytek członków bez zastąpienia ich nowymi wywołuje zaburzenia w rozplanowanej i dostosowanej gospodarczo do jakiegoś budżetu działalności, lecz stokroć gorzej, gdy jeszcze organizacja posiada papierowych członków przez czas dłuższy, luki zapełnić narazie nie może, a natomiast wzrastają niedobory wpływów.

Najczęściej jest tak, iż dane towarzystwa łowieckie nie przewidują przy swem zawiązywaniu się podobnie bezprzykładnych możliwości i nie posiadają w swych statutach lub regulaminach odpowiednich rygorów, któreby zarządom ich pozwoliły taką sprawę załatwić w sposób pomyślny dla towarzystwa. Koniec końców niedobory wpływów stąd powstałe bywają dla towarzystwa raz na zawsze stracone z widoczną krzywdą sprawy ogólnej. Nb. wielu z tych członków - uciekinierów, niewypłacalnych ze swych zobowiązań w jednem towarzystwie, zapisuje się do innego. Ano, gdzieś polować trzeba.

Otóż zachodzi pytanie, na które mogłaby odpowiedzieć dopiero statystyka w relacji wielu stowarzyszeń, czy poruszone tu przezemnie zło jest aż tak rozpowszechnione, aby rujnowało, czy też chociaż przyprawiało o większe kłopoty nasze organizacje, burząc ich budżety i plan działalności. To, sądzę, dałoby się sprawdzić drogą poufnej ankiety, jeśliby zaszła tego potrzeba. Lecz wówczas, gdy kwestja ta dotykałaby wielu organizacyj, jak złu przeciwdziałać i jak na nie zaradzić?

* * *

Na walnem zgromadzeniu jednego ze znanych mi towarzystw łowieckich, podrywanego od wielu lat w tak nieprzewidywany sposób przez „obrażonych", przy dość żywej zmianie personalnej członków z roku na rok, w roku bieżącym przedyskutowano gruntownie tę sprawę i uchwalono upoważnić zarząd do ogłaszania tych panów z imienia i nazwiska w prasie łowieckiej, co pozwoliłoby przynajmniej innym towarzystwom uniknąć w stosunku do zgłoszonej ich kandydatury stuprocentowego ryzyka.

Ponieważ jednak, śmiem przypuszczać, niejedno towarzystwo łowieckie choćby od czasu do czasu znajduje się w podobnem położeniu, sądzę, iż zacytowana uchwała dałaby się w wielu razach zastosować, i wnoszę przeto, aby Szanowna Redakcja „Łowca Polskiego", jako organu P. Z. S. Ł., zechciała otworzyć stałą rubrykę w tym celu.

Myśliwy, który taką próbę przeniesie na sobie, który zgodzi się zostać niejako publicznie wykreślonym z liczby braci z pod sztandaru św. Huberta — niechże idzie polować samopas, pozostając na czarnej liście łowieckiej.

WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO.

„B O J A N".

(Z cyklu myśliwskiego obraz drugi)

Pies tymczasem, po tym chrzcie łowieckim, nabierał nowych poglądów na sprawy życiowe, na stosunek do Grzegorza i całej rodziny jego, na gospodarstwo, krowę, konia i drób, na drobne ptaszki, kręcące się bezustannie w obejściu, nawet na pędzenie pamiętnego rogacza, — jednem słowem, wolno dochodził do poznania.

Leżąc na trawie, w cieniu jedynego przy domu świerka, wspominał z lubością puszczę, która w pobliżu szumiała, niosąc żar wieczorem, a ochłodę w ciągu skwarnego dnia, marzył sennie o pędzaniu jakichś potworów leśnych, a gdy zasypiał, śnił najczęściej znów o swoim rogaczu i leżąc przebierał w drgawkach potężnemi łapami, wydając nosowe, półświadome i tępe odgłosy.

Budził się z takiego snu z uczuciem tęsknem i zapewne z pragnieniem przeżywania rzeczywistości.

Nie tak to jednak łatwo było doczekać się okazji ponownego wtargnięcia w puszczę, bo Grzegorz zajęty był teraz w polu, a gdy nawet jeździł za jakiemiś sprawami w stronę lasu, czepiał młodego psa na łańcuchu, z przyczyny, dla Bojana niezrozumiałej.

Bojan coprawda miał do swego pana głębszą urazę za takie postępowanie, którego nie mógł pojąć, ale czyż psia dusza może się skarżyć, czy może długo pamiętać wszelkie niesprawiedliwości, jakie ją od ludzi co krok spotykają?

Zresztą, rzecz to ludzka nosić milczkiem w sercu żal i gniew, — psa stać na to, by zawsze przebaczył, albo głośno upominał się o swe prawa, co też faworyt Grzegorza robił stale, skomląc i poszczekując żałośnie, gdy znalazł się nieoczekiwanie na łańcuchu.

Z początku próbował wyzwolić się, gryzł zimny metal, kopał, drapał, ale, przekonawszy się kilkakrotnie o swej bezsile, jęczał tylko i wyglądał na wszystkie strony, nasłuchując, czy nie dojdzie go stuk znanego wozu, i leżał, jak umiał najspokojniej.

Tak minęło może tydzień, a może trzy, któż to wie?

Chłodna w porównaniu z dniem noc zapędziła Bojana i jego matkę, Lutnię, pod szopę, gdzie w głębi leżało dużo, dużo miękkiego, aromatycznego, a przyjemne ciepło dającego siana.

Z wieczora więcej było we wsi krzątaniny, niż zazwyczaj, więc też i czujność zdwojona wyczerpała wiernych stróżów ludzkich bardziej, niż codziennie, ale przecież takie niepokoje zdarzały się perjodycznie co jakiś czas, po którym następowały niezwykłe krzyki, hałasy, śpiewy, bieganina, a dość często i muzyka, na której psy wioskowe nie zawsze umiały się poznać i której nie słuchały w należnem milczeniu, — bez wycia.

Lutnia coś przeczuwała, a jako długo żyjąca istota — wiedziała z doświadczenia, że po takim ruchliwym wieczorze bywa dzień, który dla psiego nosa najbardziej uwydatnia się zmianami w zapachach ubrań najlepiej znanych nawet sąsiadów. Niby ci sami — a niby inni.

W młodości, bywało, w takie uroczyste dnie, suka nieraz się myliła i na świeżo pachnącego Grzegorzowego gościa napadała, jak na obcego, gdy wszedł za wrota, ale kije, kopnięcia, wymyślania, krzyki swoich i napastowanego, wreszcie kara za troskliwą służbę w formie przymusowej niewoli na łańcuchu, oduczyły zmyślne zwierzę od zbytniej gorliwości i oziębiły w Lutni gorący zapał do najsumienniejszego wypełniania obowiązków.

Bojan jeszcze nie miał tego doświadczenia, co matka, ale znacznie prędzej nabierał życiowej mądrości i już znał wszystkie przedświąteczne przygotowania, — to też nie kwapił się zbytnio ani do gorliwego stróżowania, ani też nie bardzo zwracał uwagę na tych, którzy przy bezrobociu przychodzili na różne pogawędki do gospodarza.

Spał spokojnie, a za skrzypnięciem furtki podnosił od niechcenia ociężałe z natury powieki, pod któremi czerwieniła się zdaleka widoczna u ogarów błona.

Do byle kogo nie wybiegał, na oko oceniając postać, zbliżającą się do chaty Grzegorza.

Więc ani Lutnia, ani Bojan nie mieli się czem zmęczyć w służbie przy domu. Zresztą, cóż to dla ogara znaczą takie niewywczasy, spowodowane sobotnią krzątaniną, czy niedzielnym gwarem?

Psy spały spokojnie i pewnie.

Ciemno jeszcze było zupełnie, a przedświtny ziąb poskręcał psy w ciaśniejsze, mocniej stulone kłębki, gdy niespodzianie zgrzytnęły cicho drzwi Grzegorzowe.

Psy nastawiły uszu, ale się odrazu nie zerwały, dopiero gdy wśród ciszy rozpoznały miękkie kroki obutego w łapcie pana, wybiegły na spotkanie bez szczeknięcia, ale ze szczerą, psią radością.

Grzegorz — o dziwo — pomimo święta, pachniał najstarszą „świtką", a na ramieniu miał zawieszoną dobrze Lutni znaną, torbę skórzaną, z której już nieraz, przy niepowodzeniu na łowach, dostawała duży kawałek chleba, a czasami i coś smaczniejszego.

Żelaznego drąga, z którego w potrzebie miotał pioruny, od jakich największe i cuchnące odyńce waliły się, jak nędzne szaraki, nie posiadał, ale już suka wiedziała, że pójdą teraz przez ogrody, przez kładkę na strumyku-rzeczce, aż na skraj puszczy, do bardzo starego dębu, z którego Grzegorz wyciągnie spalonym prochem pachnące żelazo i z niem pójdą do lasu.

Bojan biegł naprzód, ciesząc się z niebywałego spaceru i nie myśląc o tem, co będzie — ot tak, zwyczajnie, jak młody. Od czasu do czasu zawracał tylko z obranej przez siebie drogi, gdy usłyszał, że kroki jego pana inny obierały kierunek.

Przez rzekę przeszli, nie zamoczywszy nóg, bo ktoś tam i kiedyś zwalił tęgą olchę, a przepołowiwszy równo pień niezgorszy — zbudował dla przechodniów mostek.

Za strumieniem już się zaczynały najpierw suche, potem bardziej podmokłe łąki, a za niemi o 15 minut drogi — przepastne lasy, pełne tajemnic, zagadek, czarów, cudów i niebezpieczeństw.

Grzegorz wsadził teraz tlejącą łajkę do kieszeni „świtki" i, wstrząsnąwszy kilkakrotnie z przejmującego zimna ramionami, przyśpieszył kroku.

Psy człapały równomiernie już to po wodzie, już to po skoszonej ostrzycy, na której stawiały ostrożnie nogi, aby uniknąć przykrych ukłuć między palcami.

Zwolna przenosiły się cienie nocnych wędrowców do ziemi obiecanej myśliwego, do puszczy, kryjącej zwierza nikłego i potężnego, cennego i bez specjalnych walorów, jak szarak lub marny dla kłusownika ptak — jarząbek, słonka, czy też nawet dubelt.

Przy wspomnianym dębie, pomimo, że było zupełnie szaro, zatrzymali się dłuższą chwilę. Następnie, gdy wszystko wokoło pogrążone było w dzwoniącej ciszy, podskoczył Grzegorz do najniższej, grubej gałęzi, wciągnął się na nią nie bez dużego wysiłku i po chwili, przytuliwszy się do mocarnego pnia, wyjął z ukrycia narzędzie śmierci, z którem zsunął się na ziemię.

Lutnia skomlała z radości, kręciła się z pośpiechem koło swego pana, który ciągle jeszcze kazał się trzymać nogi, a Bojan podzielał tylko niepojętą uciechę matki, nie wiedząc, co go czeka.

Chłodne mgły przysnuwały szarzejący w poświacie krajobraz, z którego raz po raz wyłaniały się, jedno po drugiem, rozmaite drzewa, większe i mniejsze, krzaki, krzaczki i krzewy, oczerety, otulone w gęściejsze spowicie, i matowe, ciche lustra wody, ostrzegające przed wtargnięciem na nie przez głośne kwakanie porywających się ze strachem co chwila kaczek.

Bojan rwał się wprzód, wyskakując znienacka przed kłusownika, ale wnet, przywoływany półgłosem — powracał na swoje miejsce i człapał się za matką niechętnie.

Tu i tam zrywały się z kszytaniem spłoszone bekasy, gdzieś wysoko skrzeczała ciągnąca na świeże miejsce czapla, a tęskne „ni-uit" zebranych w liczniejsze stadka czajek były jedyną i upragnioną muzyką, przyjemnie drażniącą myśliwskie ucho.

Z terenu samego, pomimo półmroku, widać było, że ów dobrany zespół rannych wędrowców oddalał się od puszczy, do której wstąpił tylko po zabranie strzelby.



Na ostatnim szańcu — Białowieża. Fot. dr. K. Wodzicki

Świtało coraz lepiej. Już, pomimo zgęszczonej mgły, przebijał się w górze błękit, dźwięczący porannemi pieśniami najwdzięczniejszych śpiewaków polskiej niwy — skowronków. Tam i sam budziła się jakaś mała ptaszyna i zaczynała swój nowy dzień od cichego nawoływania ukrytej w krzakach lub spalonych trawach rodziny.

Na widnokręgu, prócz mgieł białawych, majaczył rdzawo-żółty, jesienny wschód słońca, zapowiadając dzień pogodny, ciepły, jako łaskawy dodatek do średnio-dżdżystego lata.

Drzewa gdzieniegdzie poczęły dopiero zmieniać barwę, zato trawy słały się wśród skromnie tu rozsianych wrzosów bezładnemi w rysunku kobiercami o miljonach najrozmaitszych, ciepłych i subtelnych kolorów.

Grunt był już wyraźnie twardy, nawet spore sosenki zagradzać poczęły drogę Grzegorzowi i niby przez grzeczność ustępowały miejsca panoszącej się gęsto brzezinie, wśród której co chwila, jak elegant, wytryskiwał w niebo zgrabny, smukły i zawsze odświętnie odziany świerk.

Dołem krzewiły się rubiny borówek i żórawin, czasem dumnie wznosiła dzwoneczki cytrynowo-żółta dziewanna i bukszpanową zielenią przetykały się wzajem mącznica z czernicą, na której gdzieniegdzie błyszczała w djamentach rosy matowa perła jagody, a wszystko misternie złączone platynowemi i srebrzystemi nitkami babiego lata.

Przekwitające na wzgórkach wrzosy, skupione i rzeźwiejsze na stokach, zwróconych ku północy, zdawały się pieścić jeszcze oko swym nieporównanym kolorem blado-karminowym. W rzeczywistości gęste ich gałązki pozbawione były przez wichry i deszcze cudownych kwiatków, zresztą okres kwitnięcia minął w tym roku, pozostawiając rzadkie okazy misternych i miniaturowych dzwoneczków tylko gdzieniegdzie, jakby na pożegnanie minionemu latu pozostawionych.

Grzegorz stąpał uważnie, wpatrzony w ziemię, z której o dziejach puszczy czytał, jak z prastarej, znanej, a zawsze nowej i ciekawej księgi. Znał niemal każdą jej stronicę tak dokładnie, jak nikt, znał też głosy wszystkich zwierząt i ptaków puszczańskich i można przypuszczać, że w wielu wypadkach rozpoznawał ich mowę, ale ciekawość jego zawsze była nienasycona, a najbardziej wtedy, gdy zamierzał polować.

Psy tymczasem, bez pozwolenia i rozkazu gdzieś się rozbiegły. Wprawdzie Bojan od czasu do czasu pokazywał się swemu panu lub doganiał go z tyłu po śladzie, ale Lutnia musiała już dotrzeć gdzieś daleko, nie zwracając uwagi ani na Grzegorza, ani na swego mało doświadczonego syna. Rzekłbyś — zginęła w puszczy.

Wierzchołki drzew, zamarłe w bezwietrznym dniu, gorzały spokojnie w promieniach wzniesionego ponad mgły, nieśmiałego słońca, a w dole gościły jeszcze rzedniejące cienie i ociężałe pierzchały do nieznanych zakątków mleczne wstęgi gęstych oparów jesiennych.

Kwilenie dużego jastrzębia, rozpostartego w niebiosach, przerwało myśli kłusownika.

Grzegorz lubił wypatrzeć, gdzie te ptaki siadają, i zabijał je wtedy, podchodząc na strzał ze zręcznością żbika lub rysia, który się do łupu skrada: wiedział też dobrze, bo nieraz przekonał się naocznie, jak wielki haracz płaciły tym ptasim zbójom cietrzewie, jarząbki, młode głuszce, a niekiedy i sarnięta.

(C. d. n.). JERZY DYLEWSKI.



FRAGMENTY.

(Ciąg dalszy).

Dyplomacja moja niezmiennie brała w łeb — chytry kozak zbywał mnie krótkiem: „ne możu" (nie mogę), lub z dobroduszną perfidją radził: „poprobuj, sokołe, u mojeji luby, może i udascia, a ja szoż? — ja tam ne choczu myży was miszatysia" (poprobuj, sokole, u mojej lubej (ukochanej, t. j. żony), może i uda się, a ja co? — ja tam nie chcę się między was wtrącać); w rzadkich chwilach serdeczności, widząc moje przygnębienie, pocieszał: „poczekajemo aż pojewycia moja pannoczka; jak wona schocze, tak nenka skocze, a ja wże dla tebe tak pidstroju Jarynku, szob w twoju dudku zahrała" (poczekajmy zjawienia się mojej panieneczki, jak ona zechce, tak matka będzie skakać, a ja już dla ciebie tak usposobię Jarynkę, że zagra na twojej fujarce).

Ochotę osobistego „probowania" u „lubej" straciłem raz na zawsze po niefortunnem wystąpieniu Marka Drapaka, który, prezentując Ładowej uszczutego obok futoru zająca, odważnie napomknął o moich chęciach zapolowania na jej posiadłościach. Nieszczęśliwy zając wyleciał przez płot na gościniec, a baba, jak biczem, smagnęła nieudolnego adwokata gryzącemi słowami: „Ty huniawyj pańskyj prychwosteń! choczesz mene kupyty parszywym zajciom? — zabyrajsia pid try czorty i szob bilsz noga twoja tut ne stupyła"! (Ty huniawe (gnuśliwy, przezwisko z powodu złamanego nosa) pańskie podogonie! chcesz mnie przekupić parszywym zającem? — wynoś się do trzech djabłów i żeby noga twoja tu więcej nie stąpiła).

Możebym i ja oberwał jakie skrzydlate słówko, gdyby nie donośny okrzyk Łady: „żinko hamujsia"! (żono hamuj się). Z pasją podniósł Marko zająca wsiadł na konia i przerzucając do podwórka sponiewieraną łapówkę ze słowami: „chaj bude dla Lejby" (niech będzie dla Lejby) ruszył z kopyta gościńcem. Z obojętną na pozór miną pokłusowałem za nim pod wrzask megery, znaczenia słów której na szczęście Marko już nie mógł zrozumieć. Po takiej reprymandzie całkowicie zaniechałem ubiegania się o pozwolenie polowania na futorze Łady.

Tu się Lejba urodził, wzrósł i zamieszkiwał. Dlacze-

go posiadał takie ordynarne, chałaciarskie imię „Lejba", kiedy ani z zewnętrznego wyglądu, ani z cech wewnętrznych, ani wreszcie z pochodzenia, wychowania i towarzyskiego obcowania nic spólnego z „ewrejami" (żydami) nie miał? — pozostanie nazawsze zagadką. Nie mniej przeto, z całej swej nawpół inteligentnej duszy, nienawidził cały ród Izraela i nie raz dał się dotkliwie we znaki niejednemu prawdziwemu Lejbie. Gdyby był obdarzony darem mowy, z pewnością ze słusznem oburzeniem pomstowałby na ludzką niegodziwość za krzywdę, która go spotkała i sowicie odpłaciłby temu, czyj kaprys, czy złośliwa głupota skazały go na noszenie do końca życia obmierzłej nazwy.

Bardzo niechętnie i ociągając się reagował na wołanie, zmuszony zaś do posłuchu, przy zbliżaniu się okazywał swe niezadowolenie kurczeniem w zgryźliwym uśmiechu warg i obnażaniu zębów. Chociaż od najwcześniejszych dni dzieciństwa nie zaznał rozkoszy burżuja i stale poniewierał się w gnoju lub w stercie przegniłej słomy, leżąc pod bokiem swej matki, Pałaszki, najzwyczajniejszej chamki — przybłędy, jednak już w zaraniu młodości czuł w swych żyłach domieszkę lepszej krwi: widocznie mamusia w swoim czasie musiała zapatrzyć się na jakiegoś paniczyka, lub zblazowany fircyk zacnego pochodzenia uległ chwilowej pokusie i zakosztował prostaczych wdzięków Pałaszki.

Rósł i mężniał, a świadomość wyższości nad otoczeniem, z którem sprzągł go los, krzepła coraz bardziej, w miarę, jak odkrywał w sobie przymioty, których pozbawieni byli jego najbliżsi i któremi prędko nauczył się posługiwać w walce o byt i o ulepszenie warunków egzystencji. Z biegiem czasu, gdy zatarły się wspomnienia smaku matczynych piersi, oraz matczynych, zawsze jednako czułych — czy to u matki plebeuszki, czy arystokratki — pieszczot, spoglądał z kompletną obojętnością na obdartą i wyłysiałą Pałaszkę, a gdy sprzątała mu z przed nosa zdobyty jego trudem i sprytem smaczny kąsek, z dobrotliwą pogardą puszczał płazem jej przewinienie, li tylko przez kurtuazję, należną płci słabszej.

Prędko przekonał się, że od codziennego wiktu, składającego się przeważnie z kopnięć, lub potrąceń kijem, nie utyje, że posiada bardzo czuły organ powonienia, kierujący go zdaleka do śpiących pod miedzą małych zajączków, do przepełnionych smacznemi jajami gniazd kuropatw i przepiórek, do niemrawych i nieruchliwych tłustych dropiąt, kryjących się po oziminach i po burzanach, oraz że należy tylko ostrożnie iść za nęcącemi zapachami, a osiągnięcie namacalnych korzyści staje się bardzo łatwem. Gdy głód skręcał mu wnętrzności, a jakieś bolesne kopnięcie napełniało goryczą jego wrażliwą duszę i obrażało poczucie osobistej godności, wymykał się z futoru w szczery step i, wykorzystując swe zdolności oraz nie tracąc czasu, jak głupi kundel, na kopanie susłów i myszy, używał do woli, obficie i smacznie. Step szeroki i niezmierzony stał się dla niego nieprzebranym śpichrzem.

Nawet zimą umiał rozplątać pokluczone tropy zajęcze i bez błędu trafić do zakopanego w śniegu długoucha. Odkarmił się i rozrósł. Szeroki w piersiach, po swojemu odważny i przedsiębiorczy — szczycił się sprężystością swych nóg, zwinnością ruchów, mocnym chwytem potężnych zębów, białem, lśniącem uwłosieniem, długim, puszystym, zwisającym, jak u wilka, ogonem i bystrem, wszystko spostrzegającem spojrzeniem wesołych, brunatnych oczu. Dumny był ze swego sprytu, przebiegłości i umiejętności poznawania się na ludzkich ułomnościach i na nielogicznem, z punktu psiego widzenia, postępowaniu.

Najbardziej jednak pysznił się naocznym dowodem szlachetnego pochodzenia od setera — kawowego koloru kędzierzawemi uszami, które umiał, w wypadkach osobliwego podniecenia, lub w czasie rozmyślań nad wyjątkowo absorbującem go zagadnieniem, podnosić pionowo do góry. Nikomu z mieszkańców futoru nie okazywał specjalnego przywiązania, zgraja zaś futorskich kundli okazywała mu należny respekt i bez awantur ustępowała z drogi. Chociaż z kundlami nie lubił pospolitować się, jednak do psów myśliwskich czuł szczególny afekt. Pewnego razu, pragnąc przyjąć czynny udział, jak mu się zdawało zupełnie prawnie, w spożyciu zająca, uszczutego przez charty w pobliżu futoru, został dotkliwie i niemiłosiernie poturbowany przez cięte, nieznające się na dobrym tonie ścigowce i ledwie uszedł z życiem, zawdzięczając je tylko mojej szybkiej interwencji. Od tego czasu czuł nieodpartą niechęć do charciego plemienia i unikał bliższej z niem styczności.



Z tokowiska w Kamiennej (pow. sarneński).
Fot. T. Loth.

Kieszonkowym złodziejem i zwykłym stepowym rabusiem nie był, gdyż ani w chacie i podwórku szkody nie robił, ani w czasie swej włóczęgi do tobołków i wozów pracujących w polu chłopów nie zaglądał. Z początku łupił gniazda, pożerał pisklęta i zabijał wyrosłe sztuki tylko z prawa konieczności — dla nasycenia żołądka.

Lecz, racząc się często gorącą krwią upolowanej zwierzyny, obudził dotychczas śpiącą (spuściznę po najodleglejszych, dzikich przodkach) żądzę zatapiania kłów w rwącem się lub trzepocącem żywem ciele, i nawet nie odczuwając głodu, zaczął mordować dla samej rozkoszy mordu. Instynkt bardziej szlachetny, przekazany mu w pobocznem dziedzictwie rasą, od wieków łączącą wszystkie swe czynności ze służbą człowiekowi ku jego użytkowi, podświadomie działał na jego umysłowość i nakazywał mu nie zakopywać i nie porzucać zdobyczy. Gdy więc parę razy przyciągnął na klepisko futoru upolowanego zająca, zdobył ogólne uznanie mieszkańców, stał się faworytem

Łady, jako „mudryj pes" (mądry pies) i osiągnął nieoczekiwanie szczyty bezkarności, coś w rodzaju „poselskiej nietykalności". Był pozatem dobrym stróżem, w nocy nie przekraczał granic futoru i nigdy z rąk obcych pokarmu lub datku nie przyjmował. Zimą, w mroźne księżycowe noce, gdy srebrny planeta był odziany w tak zwaną lisią czapkę, biegł widnym, kołyszącym się truchtem na południowy kraniec rozległego futoru, usadawiał się na wierzchołku kopca-kurhanu i wpatrzony w zamgloną twarz księżyca słał iskrzącym się gwiazdom przeciągłe, żałosne wycie, przerywane krótkiem poszczekiwaniem, daleko roznoszącem się po obumarłym stepie. „Łejba płacze; bude buran i zawirucha" (Lejba płacze: będzie stepowy huragan i śnieżna zamieć) mówili przejezdni chłopi. Latem błąkał się po zalanem mdłem światłem księżyca podwórku, przystawał w najbardziej oświetlonych miejscach i podnosząc pysk ku niebu i gwiazdom, oszczekiwał je głośno i dźwięcznie. —„Bude pohoda i żara" (będzie pogoda i upał) — wyrokowali parobcy, leżąc nawznak na snopach bujnej pszenicy stepowej, wypełniających wolno wlokące się arby.

Wiosną i jesienią poświęcał dużo czasu na wyprawy łowieckie, na roztrząsanie psich zagadnień, na układanie i pomyślne wykonywanie tajemnych planów, a więc w nocy spoczywał zwinięty w kłębek i tylko drgawki, wstrząsające od czasu do czasu jego ciałem, połączone z piskliwym wewnętrznym skowytem, świadczyły o tem, że umysł jego pracuje nawet we śnie, odzwierciadlając niedawne przeżycia, lub wytwarzając przedsmak przyszłej przygody. Słowem, był osobistością znaną i cieszył się zasłużoną, jak dobrą, tak i złą sławą. Żyłby długo w dobrobycie i względnym spokoju, gdyby nie zamiłowanie do złośliwych figlów, pewność siebie i przekonanie, że jest psem uprzywilejowanym, któremu wszystko ujdzie. Jego zgubna skłonność do inscenizowania dramatów przypuszczalnie miała w założeniu przyczynowy związek z nadaniem mu imienia „Lejby" i musiała być wyrazem stale powtarzającego się, żarliwego protestu, lub dowodem nurtującego pragnienia nienasyconej zemsty za tę obelgę.

Po szerokim, t. zw. „krymskim" trakcie (gościńcu) obok futoru przeciągały „wałki" czumaków, statecznie kroczących w baranich czapkach, obok poważnych, ogromnych, szerokorogich, siwych wołów, ciągnęły śpiewnie skrzypiące arby, naładowane sianem, snopami zboża, lub „kabakami" (jadalna tykwa), melonami, „kawunami" (arbuzy) i ogórkami, przejeżdżały furgony, drabiniaki, szarabany, bryczki i bryczuszki, szły stada bydła i owiec, wzbijając nieprzejrzane chmury kurzu, wlekli się leniwie przechodnie i przebiegali konni. Lejba rozglądał się w sytuacji, kombinował, obliczał, wreszcie rozpoczynał działania: raptownie wyskakiwał na trakt, na spotkanie upatrzonej ofiary, i z zajadłem szczekaniem, uwijał się przed końmi, atakując ich pyski.

Jak ogromna, prężąca się i rozprężająca, biała kula, zwinnie i lekko skakał z gromkiem klapaniem paszczęki, dobierając się do najczulszego miejsca — końskich chrapów. Największą rozkoszą dla niego był widok złamanego dyszla, wywróconego wozu, lub tarzającego się po ziemi, osypanego pyłem czarnoziemu jeźdzca, zruconego przez spłoszonego furją psiego ataku wierzchowca. Z czasem nauczył się nieomylnie rozpoznawać płochliwe konie. Przepuszczając bez zaczepki spokojne, na nic nie zwracające uwagi chabety, cierpliwie wyczekiwał, warując godzinami obok dziury w płocie, aby w odpowiednim momencie wykonać szybkie natarcie, uderzyć piorunem i spowodować upragniony dla się wypadek. Jeśli z wywracającego się wozu wyskakiwali, lub sypali się, jak gruszki z potrząsanego drzewa, starozakonni, Lejba nie omieszkał błyskawicznie uszczknąć połę chałata i zwiać z nią natychmiast, kryjąc się w zarośniętych „szypszyną" (głóg), „czertopołochem" (morsus diaboli — czarci korzeń) i tarniną wertepach futoru. Lubił także „kochany piesio" śledzić z ukrycia przebieg uganiania się chartów za lisem lub zającem.

Ścigany zwierz zawsze wysilał się dopaść gąszczy futorskich, rowu i wału, szczwacz-charciarz zaś wytężał bieg konia, aby przeciąć drogę uciekającemu do bezpiecznej kryjówki i dopomóc chartom. Lejba, w jakiemś genjalnem natchnieniu, zawsze czaił się tam, skąd mógł bezkarnie cisnąć swe zwinne cielsko pod nogi rozpędzonego rumaka, choć na jedną chwilę skonsternować jeźdźca i przeszkodzić jego zamiarom. Wszystkie psotliwe wyczyny Lejby znajdowały aprobatę u właścicieli furoru i niezmiernie ich bawiły. Należy jednak oddać sprawiedliwość staremu kozakowi, że zawsze z własnej, nieprzymuszonej woli starał się powetować pokrzywdzonym ich straty, nie zważając na kąśliwy ozór żony.

Nie doczekał się Łada wyników obiecanej mi interwencji u „krali" Jarzynki. „szob zahrala w naszu dudku", gdyż w ostatnim dniu XIX-go stulecia nagle zmarło sympatyczne kozaczysko...

W przesycony ciepłem i wonią kwitnącej wiosny, łagodny wieczór majowy, pod cichy szept lekko kołyszących się, okwieconych gałęzi, prześwietlanych ostatniemi przebłyskami gasnącego słońca, odbywała się walna narada nad jutrzejszą wyprawą na dropie. Jak zwykle, Marko Drapak rzeczowo i dokładnie złożył sprawozdanie, z którego wynikało, że samice już siedzą na gniazdach, że samce zaprzestały walk między sobą i łączą się w stadka, które żerują o świcie i wczesnym rankiem na soczystych wschodach jarzyny, gdy zaś słonko mocniej przygrzeje, zapadają na dzień w burzany, że pokaźny „kyrd" (stadko) starych wąsali od kilku dni odwiedza rankami uprawne pola wsi Lachowej, oraz „sołonczaki" (sołuchy) opodal futoru Łady i że w dziesięć-dwanaście koni „harno można obskoczyty ciłyj kyrd, bo drofyczi chodiat' ne szyroko" (można ładnie obskoczyć, okrążyć, wziąć w kocioł całe stadko, gdyż samce dropie nie rozchodzą się szeroko).

Nie zapatrywałem się tak optymistycznie, jak Marko, na możliwość dobrych wyników, gdyż wiosenne konne polowania na dropie zaliczałem do bardzo niepewnych i w dużym stopniu zależnych od wyjątkowo sprzyjających myśliwym warunków, między któremi łut szczęścia jest zawsze pierwszorzędnym czynnikiem.

O ile w jesieni stada dropi, nierzadko liczące po kilkadziesiąt sztuk młodych i starych, wypasionych ziarnem, ociężałych i niechętnych do lotu ptaków, łatwo dają się objechać i ująć w środek koła jeźdźców, nawet przy nieznacznej ilości tych ostatnich, i przy

pierwszem zwróceniu uwagi na zbliżających się ze wszystkich stron konnych szybko dezorjentują się, kuczą się, rozbiegają, a następnie przylegają w ścierniskach lub otawach, płaszcząc się i kryjąc przy ziemi głowy, zrywają się zaś w rozsypkę dopiero w nieznacznej odległości od pędzących ku nim „gońców", o tyle trudno okotlić i dopaść na niezawodny strzał do stadka, składającego się wyłącznie ze starych, ostrożnych i mądrych ptaków, które, wychudzone na fest wiosennemi emocjami, po ostrzeżeniu przez szeroko rozstawione posterunki — pojedyncze, najczujniejsze i najbardziej doświadczone okazy—niezwłocznie schodzą się, w zwartych szeregach uporczywie maszerują w jednym kierunku, nigdy nie zawarują, a po zorjentowaniu się, zrywają się zawczasu, starając się wznieść jak najwyżej, lecą kupą i przeważnie wydostają się z kotła bez ofiar, przelatując w najszerszej między jeźdźcami przerwie.

To też należy rozjeżdżać się w jak najdalszej od upatrzonego stadka odległości, zamknąć koło bez zwrócenia na siebie uwagi stróżujących i, pilnie zachowując jednakowy dystans między jeźdźcami, podążać z możliwą szybkością, licząc się z tem, że z odległości najmniej pół wiorsty trzeba lecieć na złamanie karku. Umiejętność, rozwaga i szybkość decyzji strzelców, zgranie „gońców" i dobrze wyjeżdżony, przyzwyczajony do strzałów i tego rodzaju polowania wierzchowiec — oto są najważniejsze warunki powodzenia.

Omówiliśmy z Markiem szczegóły, ustaliłem liczbę konnych „gońców" (12-tu) i wyznaczyłem godzinę wyjazdu. Za mało było strzelb, gdyż, oprócz mnie i Marka, przyjmował udział w tej wyprawie jeden tylko strzelec — były obywatel ziemski, obecnie zrujnowany, przymierający głodem „chodataj po kreściańskim diełam" (doradca w sprawach włościańskich), Andrzej Jurkiewicz, który prowadził w imieniu włościan wsi Lachowej jakiś spór z „kaznoj" (skarbem) o „nieudobija" (nieużytki) w Lachowym jarze. Był to człek poczciwy, uczynny i spokojny, namiętny amator myślistwa, lecz zarazem notoryczny pijak, a gdy zalał pałę, stawał się niemożliwy i wyprawiał niesłychanie drastyczne brewerje ku uciesze chłopów i zgorszeniu wiejskich „inteligentów". W kompanji nigdy nie pił i nawet na polowaniu nie dotykał kieliszka.

Do wsi Lachowej, gdzie oczekiwał nas Jurkiewicz, był spory kawał drogi, coś około dwunastu wiorst, więc wyjechałem, wraz z całą kawalkadą o północy. Miałem pod sobą ognistego, niemożliwie twardego w pysku, gniadosza, „Cygana", syna ścigłej, jak wiatr, donki, „Połtawki", i szlachetnego ogiera, araba ze sławuckiej stadniny.

Zaprawiony do polowań z chartami, obstrzelany co się zowie, tak był obeznany z mojemi wymaganiami myśliwego, że dość mi było w pełnym galopie puścić wodze, a stawał niezwłocznie, innego jednak jeźdźca nie znosił i stawał się najdzikszą bestją, gdy kto z obecnych próbował go dosiąść. Zdarzało się, że we dwójkę z bratem Zygmuntem, który jeździł na swym wronym „Orliku", mało w czem ustępującym „Cyganowi", jako że pochodził od tegoż ogiera i rodzonej siostry „Połtawki" — klaczy „Natałki", gnaliśmy w obrotach pomykającego w burzanach lisa, depcząc mu po piętach, aż zoczony na bardziej otwartej przestrzeni stepu przez psy, kończył żywot „w szczypie" (pysk charci) Lotki, Sokoła, Doskocza, Dogonia lub innego z licznej rzeszy naszych chartów.

Przejeżdżaliśmy przez olbrzymią wieś W., odprowadzani ogłuszającem wyciem i szczekaniem psów i utonęliśmy w złudnych, przedrannych mrokach stepowych, dążąc do wsi Lachowej drogą polną i miedzami śród pól obsianych i sianożęci, a naprzełaj przez nieruszone nigdy pługiem caliny i obszerne tłoki (wspólne pastwiska — wygony). Już świt pełzał po stepie, cienie nocy chyżo uciekały z pod końskich kopyt, a step ożył i przemówił przez dźwięczne gardziołka skowronków, gdy stanęliśmy na miejscu. Na podwórku sadyby „starosty" (sołtysa), z dubeltówką za plecami, krzątał się Jurkiewicz obok swego małego konika, jedynej własności, jaką posiadał, i spieszył z jego „osiodłaniem", t. zn. podciągał długi popręg z przymocowanemi doń na rzemieniach strzemionami, przerzucony przez grzbiet konia, przykryty złożonym we dwoje workiem. Nie marudziliśmy z opuszczeniem wsi Lachowej, gdyż na stepowych równinach czas przejścia od świtu do światła dziennego trwa krótko, w przeciwieństwie do zachodu słońca, który, stopniowo i powoli napędza ciemności na rozłożystą płaszczyznę stepu. A do miejsc stałych żerowisk dropi było ze dwie wiorsty.

Podążaliśmy raźno i ochoczo, bo to i konie często parskały i dorodna „mołodycia" (młoda kobieta) przeszła nam drogę z pełnemi wiadrami, wysoko podnosząc spódnicę i kołysząc biodrami w takt wahadłowych ruchów leżącego na ramieniu „koromysła" (drewniany przybór do noszenia wody), a wszak wiadomo, że takie oznaki są nieomylną przepowiednią powodzenia. Wesoło przekomarzałem się z Jurkiewiczem i Markiem, drwiąc z ich zapewnień, że, nawet pomijając rokujące pomyślność oznaki, mają swój „kyrd", jak w kieszeni.

(C. d. n.) STANISŁAW SKRZYŃSKI.



Nero i Reks. Fot. Wł. Zarzecki.

„SAFARI" W RZEPICHOWSZCZYŹNIE.

O godz. 10-ej wieczór wyjazd końmi, noc ciemna, choć oko wykol, półtora kilometra do kanału, po drodze jakieś dziwne sylwetki zamczysk, betonowe schrony dawnej linji obronnej niemieckiej. W oddali migoce jakieś światło; dojeżdżamy, grupa ludzi kręci się nad brzegiem kanału.

Zapalono kaganiec, druciany koszyk na drągu, napełniony smolnemi szczapami; mały wietrzyk rozdmuchuje ogień, który oświetla wszystko dokoła, jak w biały dzień.

Wsiadamy do trzech wąziutkich czajek: hr. Jarosław Potocki, ja, dwóch strzelców, Aleksy i Józik, i pięciu, czy sześciu gajowych, obarczonych najprzeróżniejszemi plecakami, workami, zawiniątkami.

Wsiadamy do pierwszej łodzi: Jarosław, ja i Aleksy. Czajka sunie cicho po kanale, oświetlonym łuczywem, które dzierży na rufie hr. Potocki; Aleksy kieruje łodzią. Łuczywo oświetla pobrzeżne łąki i zarośla, pnie starych olch, które mijamy. Całość daje obraz czegoś zupełnie niezwykłego, sekrety czarnej toni wody światło łuczywa przenika razporaz. Zaskoczony na czatach w zadumie, szczupak błyska w głębinie.

„A czemu nie zabrano ości, ot i rybka byłaby na śniadanie", ktoś się odzywa.

Suniemy cicho, jak jakieś upiory, poprzez tę zaczarowaną krainę. Wrażenia niezwykłe ciągle, co chwila coś nowego. — Za dnia ta droga nie przedstawia nic nadzwyczajnego, lecz w nocy imaginacja pracuje i wytwarza obrazki i sytuacje trudne wprost do opisania, szczególnie jeżeli się nie zna topografji terenu.

Hr. Potocki wprawnie, tak, jakby nic innego przez całe życie nie robił, utrzymując w dziwny sposób równowagę na łodzi, dokładał łuczywa do kagańca, który dzierżył w dłoni. Rozżarzone węgle lub odłamki łuczywa sypią się razporaz do łodzi lub też do wody, gdzie z sykiem gasną. W pewnej chwili Potocki zdejmuje czapkę i moczy ją w wodzie, poczem nasuwa na głowę. Czyni to, gdyż obsypany ciągle iskrami sam zatlić się może, jak łuczywo.

Aleksy, jak dantejski przewoźnik z piekła, posuwa miarowym ruchem łódź naprzód.

Nagle brzegi oświetlone, krzaki, olchy zaczynają uciekać — wpłynęliśmy na Szczarę. Ciemna, nieprzejrzysta toń, wiosło zanurza się coraz głębiej by znaleźć oparcie. Chwilami nic nie widać wokoło. Suniemy cicho, bez plusku, w czarną przestrzeń, prująć ją światłem łuczywa.

Skręcamy i wsuwamy się w oczeretach wytartym kanałem — stajemy pod jakąś starożytną olchą, która nas gościnnie przyjmuje na brzeg.

„Uważajte panoczku, tu głubina" — zwraca mi uwagę Aleksy, gdy z łodzi poprzez burtę chciałem w moich prawie półtorametrowych nieprzemakalnych butach zaatakować przybrzeżne bagno, ufny, że w tem miejscu gruntu dostanę.

Formuje się poleskie Safari. Na czele Aleksy z kagańcem i workiem łuczywa na plecach, potem gospodarz, hr. Jarosław, potem ja, leśniczy, Józik, drugi leibjäger Potockiego i długi szereg gajowych. Ten niesie kuchnię, ten śpiżarnię obfitą, tamten koce i derki, ten nasze osobiste wygody, inny znów broń. Idziemy wszyscy gęsiego.

Poprzez uroczysko Łastupow droga z początku sucha, porośnięta rzadkim starodrzewiem liściastym, poprzez który ścielą się fantastyczne cienie i hen daleko od naszego tropu błyskają omszałe pnie, jakieś niesamowite konary, krzaki, pobłyskują, gdzieniegdzie tafle wody. Dochodzimy do „Bieleńskiego łuku", zaczyna się kładka, prawie kilometr.

Droga zdaje się bez końca. Dwa wąskie, ociosane pnie nad czarną topielą; gdzieniegdzie błyskają oczerety. Światło, nie mając oparcia, ginie ciągle. Co chwila kładka się urywa i grząskie bagno wśród korzenistych pni olch starych ukrywa przejście; — brniemy w bagnie po kolana miejscami, buty wykonują dziwne kontredanse na moich piętach, opłakane później w skutkach. Trochę suchej leśnej ścieżki i „Łastupowa łąka" — ot takie sobie jeziorko. Woda po kolana, na środku „stieżar" od stogu świadczy jedynie, że normalnie to miejsce jest w innej porze roku żyzną łąką. Brniemy przez łąkę, Aleksy znika ze światłem, które miga poprzez gąszcze. Znowu kładki, kładeczki, błoto po kolana, to znowu po kostki, a my suniemy naprzód, jak wąż z głową ognistą.

Uroczysko Białoje (leśnictwo nowosieleckie nadleśnictwa horodyskiego), przyjmuje nas gościnnie. Ogromne ognisko wśród zwałów polan, obok maleńki jednoizbowy domek z komorą (śpiżarnią) — nasze miejsce postoju, punkt operacyjny dla spóźnionej batalji, którą mamy wydać głuszczom, gdyż już jest 24 kwietnia A. D. 1932

Godzina 11 i pół. Ciemno, choć w pysk dać — księżyc będzie dopiero nad ranem. Otrzymujemy meldunki o zapadach. Hr. Jarosław zostaje tu i idzie na tok, na którym o 1½ kilometra zasadzono 3, czy 4 koguty. — Ja zaś za godzinę ruszam z Aleksym i dwoma gajowymi na uroczysko Dubowe, odległe o 5 kilometrów, po kładkach poprzez bagna i lasy, gdzie gajowi meldowali, że zasadzili koło linji parę głuszców, a gdzie kilka dni temu dawał w puszczy koncert, „zespół", składający się przynajmniej z 40 grajków.

Siedliśmy przy ogniu, nie czując zmęczenia po przebytych prawie 5-kilometrach, do tego po nieprzespanej poprzednio nocy w wagonie, przytem i drogi do Rzepichowa automobilem, pełnej przygód i zagrzęźnięć dosłownie po osie samochodu w bagnie.

Hr. Jarosław, który przeszło 80 kogutów ma na sumieniu, idzie spać spokojnie i za chwilę, gdy wchodzę do izby naszego pałacu, śpi, jak zabity, i chrapie. Chcę się choć trochę zdrzemnąć przez tę godzinkę, która mi pozostała, — nie mogę jednak, gdyż chrapie nadleśniczy, jak tartak czterogatrowy w ruchu. Zasnąłem chyba na kilka minut, włazi z łoskotem Aleksy: „Nu, para barin".

Ruszamy z kopyta, noc chłodna, niebo miejscami zachmurzone, ciemno, gdyż księżyc akurat za chmurami, lecz widzę dostatecznie postać Aleksego przed sobą i krok w krok za nim stąpam, w jego ślady wpatrzony... Kładki, bagna, kładeczki, bagienka, pniaki, korzenie, co walą po butach... Naraz brzdęk, padam,

jak długi, nosem we wrzosy, kolanem sztrajfując jakiś pniak, który Aleksy ominął umiejętnie; wstaję, zbieram manatki i dalej naprzód... Kładki ociosane połyskują czasami w ciemnościach, więc balansując, jak żongler, z patykiem — laską idziemy szybko naprzód, tak, jak po najlepszej drodze; czasem trafiają się omszałe, śliskie bale — kładki, a wtedy nogi jadą naprzód — tułów zda się cofać, i gdyby nie zbawienny kij, który głębiej, czy płyciej topi się w bagnisku, lub w wodzie i pozwala ratować równowagę, kto wie, czybym nie siedział w jednej chwili w czarnej mazi po uszy.

Nareszcie, po wielokrotnych moich pytaniach, czy jeszcze daleko, doszliśmy do jakiejś linji, podobnej do tylu innych wielkiego 100.000 ha „Eldorada", — puszczy hr. Jarosława Potockiego, pana na Rzepichowie i Krzywoszynie.

Siedliśmy pod sosną, pot lał mi się z czuba, suchej nitki na mnie nie było, gdyż odległość na tej trasie przebyliśmy w rekordowym czasie, 1 godziny i 45 min.

Litr wódki i łokieć kiełbasy, i na przygryzkę trochę razowca, doprowadził nas do równowagi fizycznej.

Podjadłszy, ruszyliśmy dalej, zaczął padać drobny deszczyk, zasadzone koguty jeszcze nie grały, ale zato 4, czy 5 innych obok, na bagnie, jednocześnie grać zaczęło. Tak blisko siebie zasiadły, że niewiadomo było, którego podchodzić i potem pod którą pieśń skakać. Zabrnęliśmy z Aleksym w takie bagno i wodę po kolana, że wkońcu plunęliśmy na to zgromadzenie i wycofaliśmy się na linję, by z drugiej strony spróbować szczęścia.

Było już zupełnie jasno, gdy skacząc pod głuszca, który grał na ziemi już w rzadkim lesie o podszyciu wrzosów i małej jedliny, stanąłem naraz przed tripelbarem spiętrzonych kłód — przed korkiem. Zgorączkowany, chciałem, obmyślając skok, zdjąć strzelbę z ramienia, — ruch mojej ręki przedwczesny zdradził mnie i głuszec zerwał się w odległości 120 kroków. Był cały ukryty za pniem, lecz mnie snadź zauważył, gdyż po tym moim niefortunnym występie zerwał się z szumem i odfrunął, głosząc po borze chwałę dla rzadkiego w tej puszczy fuszera.

Deszcze padał dalej, postanowiliśmy wracać, gdyż umówione było, że po tokach zejdziemy się w chacie na uroczysku Białoje.

Odpocząwszy, ruszyliśmy o 4-ej rano, klucząc po rozmaitych wertepach, wabiąc jarząbki, popasając od czasu do czasu kiełbasą, zalewaną monopolówką, naprzełaj bez kładek przez bagna, które jeszcze w pół metra głębokości były zamarznięte.

O 7-ej zasiedliśmy do smakowitej zupy przy ogniu. Potocki wrócił o 3.50 i spał, jak zabity, a piękny jego głuszec (4½ kg. wagi) wisiał na sośnie. Strzelił go przed 3-cią.

Marszem długotrwałym, będąc bez treningu, zmęczyłem się piekielnie, obtarłem sobie piętę do krwi. Ładna perspektywa dalszych toków z taką nogą; pozatem kolano mi spuchło i bolało.

Gościnny gospodarz wracał o 10-ej do Rzepichowa, gdyż miał interesantów i gościa, Jula Godlewskiego, który o 3-ej miał nadjechać na toki z Warszawy.

Opatrzyłem nogę jako tako i ległem spać. Czyto jednak prycza za krótka była na mój wzrost, czy też zbytnie zmęczenie, czy woda w nadmiarze koniecznym w tych warunkach, słowem zmęczony, z nogą obolałą, zasnąć nie mogłem.

O 5-ej popołudniu ruszyliśmy z Aleksym na zapady. Pod grubą sosną oparty o pień siedziałem, czekając zachodu słońca, dochodziła 6-ta, — las zamierał — żórawie zaczęły trąbić na bagnach, jak na alarm, tak, jak to czynią amerykańskie lokomotywy, pozatem to tu, to tam skrzydlata brać puszczy kładła się do snu i żegnała dzionek boży.

Nagle gdzieś z trzaskiem, niedaleko, zapadł głuszec — może o kilka kroków; widać dobrze sobie wybrał miejsce, gdyż za chwilę zakrektał z zadowoleniem; jeszcze jasno było, gotowy do podskoku, czekałem niecierpliwie, czy zacznie grać, wtem dwa inne głuszce, których zapadnięcia nie słyszałem, nieco dalej w tym samym kierunku, niedaleko od siebie zaczęły grać naprzemian jednę pieśń za drugą. Zaszachowany moim najbliższym sąsiadem, który tak idealnie dla rannego podchodu zapadł tuż przy ścieżce, siedziałem bezczynnie, wsłuchując się w pieśń płynącą, gdyż grały i grały te głuszce bez końca, a najbliższy, widać mocno niedysponowany, milczał, jak zaklęty.

Dobrze ciemno już było, gdy nadszedł Aleksy, skradając się, jak lis, by mnie zabrać do chaty — koło niego właśnie bardzo blisko zapadły te dwa inne głuszce, których pieśń słyszałem. Wycofywaliśmy się, gdyż mieliśmy nadzieję, że napewno je będę miał na strzał w lepszych warunkach światła.

Przy ognisku koło chaty zastałem Jula Godlewskiego, który, jak łazarz, bosy, siedział i grzał nogi, a buty narciarskie i pończochy suszył przy ogniu. Jarosław nie wrócił, pozostał w Rzepichowie i miał się udać na blisko leżący tok.

Doskonała znowuż zupa no i chęć nieprzeparta zaśnięcia choć na chwilę. Godlewski zasnął, zacząłem drzemać, a tu znowu wtłacza się nadleśniczy, który chrapał już chyba nim się spać położył na pryczy.

Dopiero około godz. 12½ zasnąłem, by się znowu zerwać przed 1.30. Dziwnej doznałem halucynacji dźwiękowej, wychodząc przed chatę, gdy, zapatrzony w gwiazdy, wsłuchiwałem się w szmer puszczy. Naraz usłyszałem wyraźnie głos wstępny pieśni głuszca. — Zdębiałem, gdyż o tak dziwnej porze no i tak niedaleko chaty i ogniska, głos ten się odzywał. Słucham wyraźnie, nie mam złudzenia, lecz po chwili regularność tego głosu zastanowiła mnie. Sok brzeziny, kapiąc opodal do butelki, dawał to złudzenie...

Ruszyliśmy na tok, bezowocnie na miejscu czekając, by zasadzone poprzedniego wieczora koguty zaczęły grać. Mitręga ta w skutkach była bardzo opłakana.

W końcu usłyszeliśmy głuszca, grającego na bagienku, lub może za bagnem, w gęstwinie. Mozolne było podskakiwanie po topiącym się ciągle kożuchu, który, ciężaru mego nie znosząc, zarywał się czasem z pluskiem, a dojścia innego nie było. Już, zdawało się, skraj bagna, jeszcze dwa podskoki — będzie sucho. Głuszec korkował pieśń wspaniale przed szlifem. Wtem, bez znanego nam powodu, cicho spłynął na ziemię. Zamarłem w bezruchu, pot ciurkiem, mimo zimna, leję, a ta bestja jak nie gra, tak nie gra. Naod-

wrót, zaczyna jakąś bitwę niesamowitą, bulgoce, jakiś jazgot dobywa się z gęstwiny, łopotanie i tłuczenie skrzydeł. Chwilami wyskakiwał i był widoczny, to znowu ginął mi z oczu... 150 kroków — więc strzał niemożliwy i to w dodatku poprzez gąszcze śrutem; sztucerka nie zabrałem z chaty, zresztą w myśl tradycji pana na Rzepichowie, kulą wolno strzelać, ale na odległość tylko śrutową. W końcu wszystko ucichło w gąszczu, upragniona pieśń nie nastąpiła, pewno podreptał głuszec gdzieś na smakowite sasanki, i gdyby nie mitręga poprzednia, król puszczy wisiałby prawdopodobnie na sośnie przed chatą.

Wróciliśmy z Aleksym, pocieszając się wzajemnie, gdyż dwa dni toków były stracone. Godlewski także wrócił z pustemi rękoma, zmarzły mu nogi w bagnie, gdyż tak na mokro z przymrozkiem rannym, porządnym, „Fussbad" długotrwały rzadkich znajduje amatorów, pozatem, jak opowiadał leśniczy, chodził po bagnie, jak młody łoś, klapiąc ogromnemi bucikami narciarskiemi w sposób przeraźliwy.

Zwinęliśmy namioty, bagaże załadowano w plecaki i znowu w „Safari", tym razem powrotne. Długi sznur ludzi sunie się po kładkach w stronę Rzepichowa, gdyż mamy z Potockim jechać Szczarą, łodzią motorową przez jezioro Wygonowskie, na toki.

Jakże inna i mniej przykra — mniej groźna była droga powrotna za dnia, niż wtedy, nocą, z kagańcem...

Urozmaicamy ją sobie mniej lub więcej sprośnemi anegdotami. Kolumna ryczy ze śmiechu.

W pewnej chwili Jul Godlewski zagapił się i wali się prawie po uda, (ledwie był się po tokach odsuszył) — z kładki do wody. Jednak wyłazi zręcznie na kładkę.

Słońce piecze, jak w lipcu, mimo, że to ósma rano zaledwie — woda zaś w Szczarze była zimna, jak lód. Dobijamy do grobli jeszcze półtora kilometra poprzez linię niemieckich fortyfikacyj. Nareszcie luksus siedziby rzepichowskiej, ciepła kąpiel no i trzydniową brodę goli się z satysfakcją.

(Dok. n.).

JERZY ODROWĄŻ-PIENIĄŻEK.



ZE SPRAWOZDAŃ DELEGATÓW POWIATOWYCH.

Z POWIATU SIEDLECKIEGO.

Od delegata P. Z. S. Ł. na powiat i miasto Siedlce otrzymujemy następujące sprawozdanie:

— Sezon ubiegły 1931/32 przez cały prawie swój okres nie zaznaczył się poważniejszemi zmianami.

Można śmiało powiedzieć, że jeśli się coś zmieniło — to na gorsze.

Zmienili się ludzie, ich usposobienia, pożądania, a najmocniej podupadła etyka prostego ludu, więc tego elementu, który ma bezpośrednią styczność ze zwierzyną i który posiada duży wpływ na takie lub inne ustosunkowanie się do zająca, kuropatwy i sarny.

Lud wiejski, nie tylko wskutek okrzyczanego już „kryzysu", ale także skutkiem obniżenia ogólnego poziomu swych prostych, nieskomplikowanych pojęć etycznych — stał się czynnikiem bardziej, niż dotychczas, zagrażającym istnieniu zwierzyny.

Rozróżniam 7 rodzajów wrogów zwierzyny: 1) — kłusownik legalny t. zn. posiadający kartę łowiecką, 2) — sidlarz i wnykarz, 3) pies i kot wiejski, 4) — kłusownik właściwy, 5) — handlarz zwierzyny, 6) — handlarz amunicji, i 7) — inteligent, kupujący zwierzynę w czasie ochronnym.

Skuteczność walki z temi czynnikami, które godzą w całość zwierzostanów, może odnieść maksimum rezultatu dopiero wówczas, gdy szerokie sfery społeczeństwa wiejskiego i miastowego zostaną odpowiednio uświadomione i zaczną współdziałać z pionierskiemi wysiłkami tych jednostek, które na własnych barkach dźwigają dotychczas troskę o wspólne dobro.

Na terenie powiatu siedleckiego, nie licząc majątków ziemskich o większym obszarze, których jest zaledwie kilkanaście, a które prowadzą oszczędną gospodarkę łowiecką, — reszta pozostawiona jest łasce bezpomocnego losu.

Gdyby nie nadmierne wystrzeliwanie zwierzyny na terenach, dzierżawionych przez pojedyńczych myśliwych - włościan, a także i niektórych mieszczuchów, — powiat siedlecki mógłby się poszczycić ogromnemi ilościami kuropatw i zajęcy, a także i innej zwie-

rzyny, jak sarny, cietrzewie i ptactwo błotne, a nawet dziki.

W samych Siedlcach posiadamy dwa zrzeszone w P. Z. S. Ł. Towarzystwa i te prowadzą racjonalną ochronę dzierżawionych przez siebie terenów, ale tylko w ramach b. skromnych budżetów.

Siedleckie T-wo Łowiectwo posiada strażnika łowieckiego.

Dotychczas kłusownictwo właściwe i kłusownictwo „legalne" kwitło na znacznych częściach powiatu — obecnie dzięki panu staroście Stanisławowi Gulińskiemu, *nie wydano ani jednej karty łowieckiej wbrew opinji delegatów i wogóle ani jednej bez zasięgnięcia naszego zdania.*

Współpraca nasza ze starostwem jest zorganizowana w następujący sposób.

W każdą sobotę jeden z delegatów przychodzi do starostwa, gdzie otrzymuje do przejrzenia i zanotowania wszystkie prosby o wydanie pozwoleń na broń myśliwską.

Delegat notuje: imię, nazwisko i zawód petenta, jego adres i teren dzierżawiony wraz z podaniem obszaru w hektarach.

Zanotowawszy te wszystkie dane, delegaci (z wyjątkiem coprawda jednego) co poniedziałek zbierają się na wspólną naradę i omówienie opinji kandydatów, kwalifikujących się do negatywnego załatwienia przez starostwo.

Ponieważ wszyscy delegaci dobrze znają miejscowe warunki, rzadko zachodzi potrzeba zapytania któregokolwiek z T-w stowarzyszonych, co jednak czyni się w wypadku, gdy petent jest ogółowi delegatów nieznany.

Po ustaleniu opinji, jeden z delegatów przepisuje taką tygodniową listę na maszynie wraz z opinjami przy poszczególnych nazwiskach i ze szczegółowem umotywowaniem opinji nieprzychylnych, poczem listę tę podpisują zwykle wszyscy delegaci w przeciągu tygodnia.

Na następną sobotę lista z zeszłego tygodnia zostaje odesłana, jako pismo poufne, do rąk własnych pana starosty i znów zabiera się spis nowych kandydatów, którzy złożyli swe podania w ciągu tygodnia.

Wypada nadmienić, że referent bezpieczeństwa, p. Jan Straszewski, za przewodem pana starosty, również jest b. życzliwie usposobiony do instytucji delegatów i uwzględnia absolutnie wszystkie opinje, które w sposób rzeczowy i nie nasuwający wątpliwości wykazują słuszność naszych zapatrywań, biorąc rzecz ściśle z punktu widzenia łowieckiego.

W roku 1931 st-wo wydało: 18 kart łowieckich bezpłatnych funkcjonarjuszom Dyrekcji lasów państwowych, 191 rocznych i 16 trzyletnich — razem 225.

W roku bieżącym, dzięki należycie zorganizowanej współpracy z delegatami, pan starosta odmówił już wydania 50 kart, a ilość wydanych dotychczas wynosi 75.

Rozumie się, że nie jest to ostateczna cyfra, nadająca się do zanotowania statystycznego w roku 1932, gdyż wiele osób jeszcze nie składało podań o przedłużenie posiadanych upoważnień do polowania.

W roku 1931 zarejestrowano nowych terenów łowieckich 8.197 ha, a ogólna liczba wynosi już 68.471 ha przy obszarze całeg opowiatu 128000 ha.

Obecnie zaszły już znaczne zmiany w obszarach, ponieważ zostało przyłączone do pow. Siedlce z powiatu konstatynowskiego 9 gmin o powierzchni około 60.000 ha, więc i stosunek terenów rejestrowanych w przyszłem sprawozdaniu ulegnie powiększeniu. To samo dotyczyć będzie i liczby kart łowieckich.

Stan zajęcy uważać należy za słaby. Wyjątki stanowią te tereny, na których istnieje jakaś ochrona przed kłusownictwem i psami, lecz w bieżącym sezonie nie można oczekiwać dużej poprawy i na tych terenach, ponieważ lęgi marcowe przepadły skutkiem długotrwałych mrozów i dużych śniegów. Znaczniejszy wpływ na polepszenie tego stanu będzie miała decyzja pana starosty, wycofująca karty łowieckie osobom polującym „przemysłowo" i nadmiernie, i z tego powodu obiecujemy sobie znaczny sukces.

Kuropatw jest dużo i gdyby nie psy, koty i pastuszkowie, to przy dobrej, suchej pogodzie podczas wysiadywania byłoby tego ptactwa b. dużo na jesieni.

W tej chwili można tylko powiedzieć, że widoki na dobre lęgi są jak najlepsze.

Stan sarn jest niezły tylko w tych majątkach prywatnych, gdzie o nie dbają, pozatem w lasach państwowych jest ich b. niewiele, co przypisać trzeba brakowi odpowiedniego nadzoru i nadmiernemu, a niewłaściwemu wybijaniu.

Cietrzewie są wogóle w powiecie nieliczne, ale stan ich jakby się trochę w ostatnich czasach poprawił. I tu znów w tym roku należy oczekiwać widocznej poprawy wskutek zarządzeń p. starosty.

Kaczki i ptactwo błotne w tym roku nie dopisało i jest go, podług mnie, o wiele mniej, niż lat ubiegłych.

Jeśli siedleckie społeczeństwo myśliwskie będzie miało to szczęście, że pan starosta Guliński będzie u nas gospodarował dłużej w sposób rozpoczęty w tym roku, mogę zapewnić P. Z. S. Ł., że zwierzostany wzrosną trzykrotnie w b. krótkim przeciągu czasu.

JERZY DYLEWSKI,
senjor delegatów P. Z. S. Ł.
na pow. i m. Siedlce.



OGÓLNOPOLSKA WYSTAWA I TARG PSÓW RASOWYCH.

Staraniem Komitetu Wystawy i Targów Wschodnich odbędzie się we Lwowie, w dniach 24, 25 i 26 czerwca r. b. ogólnopolska wystawa i targ psów rasowych.

Terenem targu i wystawy będzie plac Targów Wschodnich.

Wystawa obejmuje eksponaty żywe, a więc: psy myśliwskie, psy do stróżowania i ochrony, psy poko-

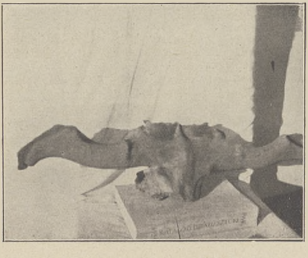
jowe, oraz eksponaty, dotyczące hodowli i tresury psów, wydawnictwa, statystyczne wykresy, rodzaje naczyń i karmy dla psów, wreszcie eksponaty z działu higjeny psa.

Otwarcie wystawy nastąpi dn. 24 czerwca r. b. w południe, termin zgłoszenia eksponatów mija z dn. 15 czerwca r. b. i po tym terminie zgłoszenia przyjmowane nie będą.

Blankiety zgłoszeniowe i bliższe informacje otrzymać można w Komitecie Wystawy i Targu, Lwów, Bielowskiego 5, lub wprost pod adresem: Ogólnopolska wystawa i targ psów rasowych, Targi Wschodnie, Lwów.

ŁOŚ Z PRZED 5.000 LAT.

W majątku Roszkowo (woj. Poznańskie) u p. Dziembowskich — robotnicy, podczas wydobywania torfu, na mniej więcej 4 mtr. głębokości natrafili na szkielet łosia, względnie dobrze zachowany. Po wydobyciu, przy zetknięciu się z powietrzem, szkielet zupełnie się rozpadł, tak, że pozostała tylko czaszka i nasady łopat, co przedstawia zamieszczona fotografja. O czasie przeleżenia łosia w torfowisku najwyraźniej świadczą łopaty, które były zupełnie zbutwiałe, tak, że po dotknięciu rozpadły się, a jak wiadomo rogi zwierząt pełnorogich posiadają nadzwyczaj zbitą strukturę i ząb czasu nie wywiera na nie tak łatwo swego wpływu. Specjaliści archelogowie orzekli, że czaszka ta przeleżała przeszło pięć tysięcy lat.



Czaszka łosia (wykopalisko) Fot. A. Kierski.

ADAM KIERSKI.

PRZEGLĄD WYDAWNICTW.

„Mój pies", miesięcznik ilustrowany, poświęcony życiu psa. Rok I, Nr. 1, Warszawa, dn. 1 czerwca 1932 r. Wydawca — D. Wacznadze, redaktor odpowiedzialny — W. Cieszkowski. Cena numeru 1 zł., w prenumeracie: rocznie — zł. 11, półrocznie — 5.50, kwartalnie — 3. — Adres redakcji i administracji — Warszawa, ul. Polna 76.

Ukazało się w Warszawie nowe wydawnictwo, które powitać należy z uznaniem i wiarą, że powstanie jego w dobie ciężkiego kryzysu nie będzie przeszkodą rozpowszechnienia i rozwoju pisma, którego dotąd odczuwało się brak.

Nr. 1. — zawiera wstępny artykuł programowy redakcji, artykuły: „Pies pokojowy" — Z. L., „Główne objawy choroby psa", „Pies w służbie wojskowej" — O. J., „Ursus, chluba psów granicznych" — J. W., „Pomnik psa-bohatera" — P. Z., szczegółowe sprawozdanie z field-trialsów, w odcinku — „Rex" — wyjątek z baśni Reymonta p. t. „Bunt", humor i wiadomości drobne.

Numer ten jest bogato zilustrowany zdjęciami z życia psa. Pod względem treści — numer „Mojego psa" przedstawia się interesująco i dość wszechronnie z technicznego punktu widzenia — posiada wprawdzie niewielkie braki, ale przy zwróceniu baczniejszej uwagi na wykonanie klisz, staranniejszy druk i przez usunięcie usterek stylowych (uważniejszą korektę) — szata zewnętrzna niewątpliwie zyska.

Objętość numeru stanowi 16 stron w formacie ósemki i kolorowa okładka. *—jb.—*

KOMITET REDAKCYJNY: J. Błeszyński, K. Czampe, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, Wł. Gieysztor, I. Gryminski, Wł. Janta-Połczyński, St. Kamocki, W. Kiltynowicz, H. Knothe, Wł. Korsak, E. br. Krasiński, St. Krzywoszewski, E. Niezabitowski, M. hr. Potocki, A. hr. Rzewuski, Wł. Słonczyński, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, Fr. Unrung, Wł. Zabiełło i St. Zaborowski.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. **Wydawca:** Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: Za tekstem 1 milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą i 5-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

OGŁOSZENIA DROBNE

Prośba o fotografje.

Redakcja „Łowca Polskiego" prosi PP. Myśliwych, posiadających ciekawe zdjęcia myśliwskie, o nadesłanie tychże Redakcji do użytku bieżącego.

Prosimy o podawanie nazwisk osób, które dokonały zdjęć, w celu zamieszczenia ich pod fotografjami.

REDAKCJA „ŁOWCA POLSKIEGO".

WAŻNE DLA PP. PRENUMERATORÓW.

POSIADAMY jeszcze na składzie **niewielką ilość** numerów pojedyńczych **„Łowca Polskiego”** od początku roku bieżącego.

Pp. Prenumeratorom możemy w ciągu bieżącego miesiąca wysłać żądane numery pojedyńcze w cenie po 1 zł.

Nowoprzybywający Pp. Prenumeratorzy otrzymać mogą komplet numerów **„Łowca Polskiego”** za pierwsze półrocze r. b. w cenie zł. 25.

Posiadamy również **ograniczoną ilość** roczników **„Łowca Polskiego”** z lat 1927, 1928, 1929 i 1930, w cenie złotych 50 za kompletny rocznik.

Przy zamówieniach prosimy wyraźnie żądane numery wyszczególnić.

Za przesyłkę pocztową dodatkowych opłat nie doliczamy.

ADMINISTRACJA „ŁOWCA POLSKIEGO”.

Książki myśliwskie.

Następujące dzieła są do nabycia w redakcji **z ustępstwem 15% dla prenumeratorów „Łowca P.”:**

Głuszec, monografja B. Świętorzeckiego z rysunkami Włodzimierza Korsaka — Cena 2,00 zł.

Nasze skrzydlate drapieżniki: Gołębiarz, krogulec, sokół wędrowny. Monografja myśliwsko-przyrodnicza Władysława Gürtlera — 2,30 zł.

Wilk, monografja Bolesława Świętorzeckiego — 3.00.

Cietrzew, monografja Włodzimierza Korsaka. Praca odznaczona I nagroda na konkursie literackim, z przedmowa red. Juljana Ejsmonda — 2,50 zł.

Jak unikać wypadków z bronią? — **Jana** Sztolcmana—25 gr.

Podręcznik do zbierania i konserwowania zwierząt — d-ra Władysława Polińskiego: zesz. I — 1,40 zł.; zesz. 2 — 2,50 zł.; zesz. 3 — 1,20 zł.; zesz. 4 — 50 gr.; zesz. 5 — 1,00 zł.; zesz. 6 — 2,00 zł.; zesz. 7 — 2,00 zł

Jana Sztolcmana: 1) **„Żubr“** — 3,30 zł., 2) **„Nad Nilem Niebieskim“** — 6,00 zł.

W stepach i puszczach — Władysława Czerniejewskiego — 1,00 zł.

Wł. Janty Połczyńskiego: 1) „Św. Eustachy“ — 3,00 zł., 2) „Polująca Pani“ — 3,50 zł., 3) „Estetyka Łowiectwa“ — 2,00 zł.

Obrazki Łowieckie — E. hr. Krasińskiego — 3 zł.

„O świcie“ — Aleksander Janta Połczyński — 4 zł.

Kazimierza hr. Wodzickiego **„Skowronek“** — 3,60 zł **„Kruk“** —4,50 zł. **„Słonka“** — 4 zł

J. W Kobylański. **„O zwierzyńcu w Katowicach“** 3 zł., **„Jak powstał w Odrodzonej Polsce pierwszy zwierzyniec w Warszawie“** 3 zł., **„O zwierzyńcu w Malinowszczyźnie“** 1 zł., **„O dawnym i obecnym zwierzyńcu w Krakowie“** 1,50, **„O zwierzyńcu w Częstochowie, Grodnie, Katowicach, Krakowie i Lesznie“** 1 zł., **„Humor i łacina myśliwska“** 1,50.

Za zaliczeniem najmniejsza dopłata — 1,40 zł.

Jako polecone (gdy się wpłaca zgóry) dolicza się 90 groszy

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Wörcka 15.